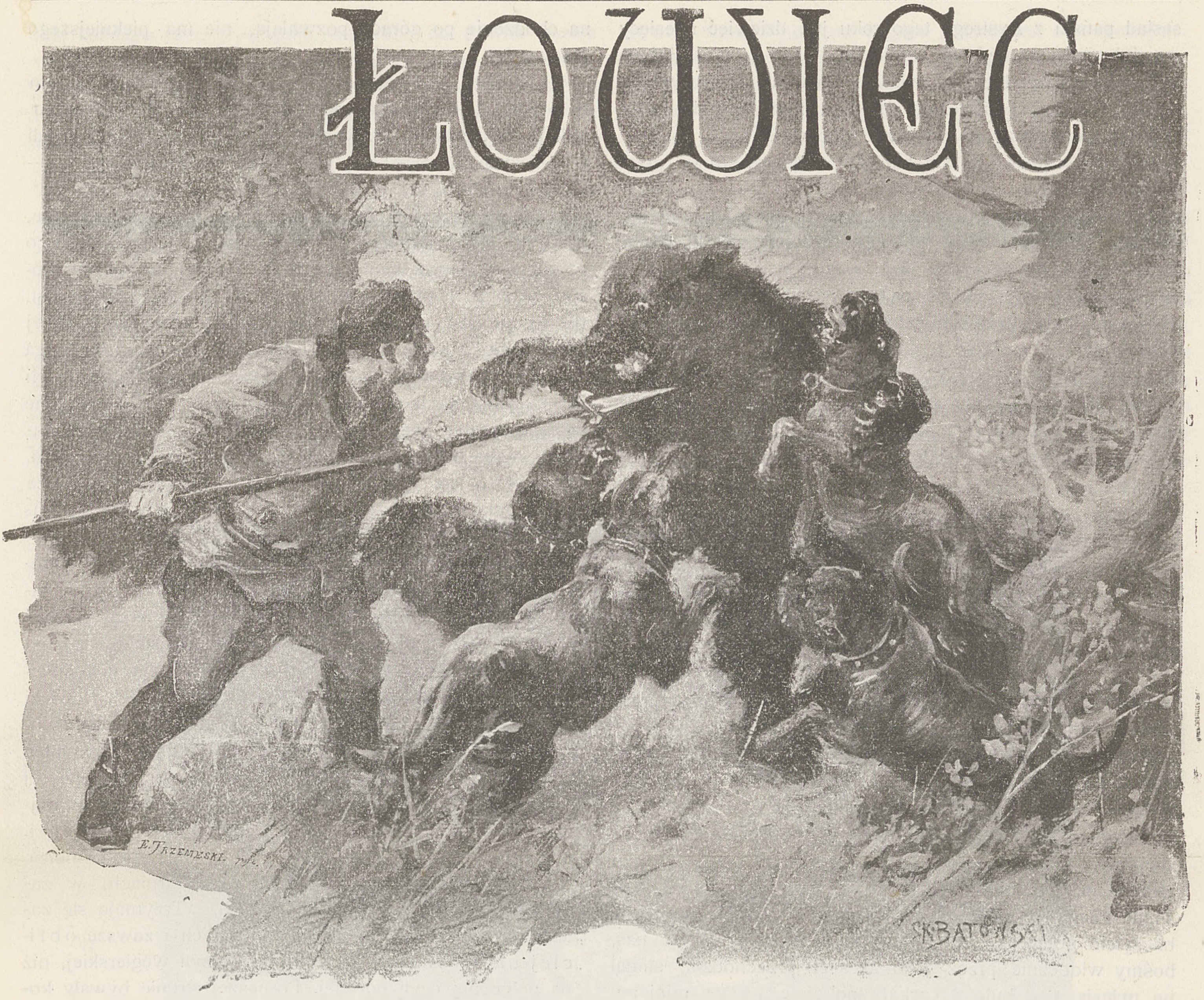
Nr. 19. Lwów. 1. października 1900. Rok XXIII.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Z TATR.

„Na luptawskiej perci,
„Kozicka się wierci,
„Kozicko, nie kręć sa
„Strelem ci do serca!

zaśpiewał Józek, uderzając w tę jedną, niezmienioną nutę góralskich piosnek, niby zupełnie niemelodyjną, a w której przecie, gdy się w nią wslucha, tętni takie same życie, jak życie górala, jakieś dzikie, jakieś nieokiełzane. Górale tak wysoko zaczynają te swoje piosnki, że zawsze mam to uczucie, iż ich nie dociągną do końca, że im głosu braknie — tymczasem, może przez to, że już w drugiej części zwrotki żadnej gradacyi nie ma, kończą ją szczęśliwie, ku wielkiej swojej uciesze, którą już zupełnie dzikim okrzykiem się wyraża.

Piosenką odpowiedział mi Józek, znany amator kozlc, na moje pytanie, co się dzieje z kozicami. Od dwóch lat, to jest od czasu, gdy nasz towarzysz, p. Zduń, poruszył sprawę zmiany ustawy co do bezwzględnej ochrony kozic, stanowią one prawie wyłączny przedmiot rozmów moich z góralami na wycieczkach w Tatrach.

Nie inaczej było i tego roku, w którym zresztą udało mi się widzieć kilkakrotnie kozice, niestety po większej części na węgierskiej stronie.

Józek, zapytany o kozice powtórnie, próbował mnie odesłać „do starego Sabały", z pytaniem, „któremi turniami kozicki chadzały" gdym jednak dalej wypytywał, przyznał się, że „łońskiego roku", od czasu, jak nie widzieliśmy się, zabił trzy kozice.

— Oj, oj, Józku, jakto na polskiej stronie? pomimo zakazu?

— Ej, ktoby tam na polską stronę za kozami chodził najprzód nie ma ich wiele, a potem niebezpiecznie — ot,

sąsiad pański z Bystrego tego roku już dziewięć miesięcy „w inkwizycie“ siedział za kozicę. Już ta wolę iść na „Ziabie“, albo pod Hruby wierch, bo tam i kozic więcej i choć także niebezpiecznie, bo tam można „zęby ostawić“, *) ale zawsze to wolę, niż gnić w areszcie.

— A bronią się tam bardzo na tamtej stronie przed kłusownikami?

— Próbowali, ale jak łońskiego roku jeden „Polak“ zastrzelił strażnika, który do niego przedtem strzelił, ale go chybił, to od tego czasu, jak „idziemy na polowanie“, w pojedynkę boją się iść na nas, a zanim się zwołają, „żeby ich było dziewięci“, to my już dawno polowanie skończyli.

Nie dzielę kłusowniczych zapędów Józków lub Wojtków, ale przyznać się muszę, że je rozumię. Zdaje mi się, że rzeczywiście nie może być piękniejszego polowania, niż polowanie na kozice. Już to samo uczucie, że trzeba na to być w całem znaczeniu tego słowa mężczyzną, który zimnem okiem patrzeć musi w oczy niebezpieczeństwom, na każdym kroku na niego czyhającym, jest bardzo przyjemne. Kto chodził po Tatrach i oczywiście nie na Czerwonych wirchach kończył swoje wycieczki, ten wie, jak pomimo zdrowych nóg i wolnej od zawrotu głowy, musi uważać na każdy krok, bo zwykłe potknięcie się, na równinach bezkarne, tu może stanowić o kalectwie lub o śmierci. Jeżeli ten ktoś jest jednak myśliwym i wyobrazi sobie, że mu w Tatrach dano sztuciec do ręki i pokazano zdala, choćby z drugiego wierchu, stadko kozic, z pozwoleniem strzelania do nich, przyzna mi z pewnością, że niebezpieczeństwa i trudności istnieć dla niego nie będą, że pobiegnie tak, jak na równinach za zwierzyną i że nawet wiedzieć o tem nie będzie, iż przechodził przez „ştyıbne“, jak to górale nazywają, miejsca. Takie miałem przynajmniej uczucie, gdy pod Kopkami zobaczyłem potężnego kozła, który zatrzymany przez nas, bośmy widocznie przez jego weksel przechodzili, stanął na upłazie pod bulą i czekał spokojnie aż go miniemy i pozwolimy mu przejść zwyczajną mu ścieżką. Gdybym tak miał mój sztuciec w ręku i prawo pogadania z tym prześlicznem zwierzęciem, byłbym z pewnością ani wiedział, kiedybym go był podszedł na strzał, skradając się za kamieniami, po terenie do podchodzenia ze względu na możliwość ukrywania się za nimi, bardzo łatwym. Ten sam człowiek jako turysta, będzie szedł jak najostrożniej, choć odważnie — daj mu strzelbę w rękę i cel w postaci tak pożądanej zwierzyny, a zobaczysz, że nie będzie dla niego niepodobnego do przejścia miejsca. Przypominam moim czytelnikom, jeżeli polują w górach, jak to bez żadnego wahania puszczają się w najgłębsze parowy, po urwiskach i wertepach, jeżeli tylko chodzi o dojście do strzału do grubego zwierza. Tak samo byłoby i po tych skałach, które dla turysty są do przebycia tylko po wydeptanych i klamrami lub łańcuchami zaopatrzonych ścieżkach. A potem te cudowne krajobrazy, te efekta światła i mgły, to powietrze przeczyste, ta cisza, ten spokój jakież to wszystko piękne, jaki to w tych warunkach odpoczynek zachwycający dla myśliwego, gdy przestanie za zwierzyną uganiać. To też się dziwić nie można alpejskim myśliwym, że z takim zapałem polowaniu w górach się oddają, bo dla człowieka, któremu płuca, serce i nogi na chodzenie po górach pozwalają, nie ma piękniejszego polowania.

Niestety, wątpię, żeby naszym myśliwym danem było tak rychło polować na kozice w Tatrach. Obrachunek p. Dra Zdunia, uczyniony na podstawie podań górali i leśniczych tatrzańskich, jest zanadto optymistyczny — śmiem twierdzić, że w całych Tatrach nie ma razem tysiąca sztuk kozic, a cóż dopiero po polskiej tylko stronie, jak to p. Zduń twierdzi. Według tego, co słyszałem i co w moich licznych wędrówkach po Tatrach widziałem, kozic po polskiej stronie nie wiem, czy jest sto pięćdziesiąt, więcej ich jest po stronie węgierskiej, gdzie im i lepiej i spokojniej i gdzie mają łowiecką opiekę, która wymaga od nich hekatomb, ale która także do spokojnego ich rozmnażania bardzo wiele się przyczynia. Ks. Hohenlohe postępuje sobie bezwzględnie z turystami — nie mam zamiaru rozbierać tego, o ile do tego ma lub nie ma prawa, lub o ile to jest lub nie jest słuszne, ale faktem jest, że spokój, jaki mają góry, po których nie drapią się co paręset metrów turyści, nie wykrzykują przewodnicy, w których nie rozlegają się strzały rewolwerowe, budzące prześliczne, to prawda, echo, nadają się więcej do rozmnażania się kozic, niż te okolice, w których to wszystko się dzieje. Zresztą strona południowa Tatr jest stanowczo, nawet w równych warunkach, dla pobytu kozic dogodniejszą — za czasów kiedy niezapomnianej pamięci Nowicki zbierał wiadomości o kozicy, żeby je zużytkować w swojej znakomitej pracy, stosunki na Węgrzech były takie same jak i u nas, a przecie kozic zawsze tam więcej było. Według więc Nowickiego utrzymują się kozice najliczniej w najwyżej wzniesionej części wschodniej t. j. pomiędzy wierchami Świnnicą, Krywaniem i Łomnicą, zwłaszcza na Krywaniu i okolicznych turniach, w zachodniej części Tatr są na Rohaczach. „Trzymają się zatem gór przeszło 2000 metrów wysokich i zawsze obfi- „ciej na stronie południowej czyli węgierskiej, niż „na północnej czyli polskiej. Po naszej stronie bywały ko- „zice w Klinie starobociańskim, na Bystrej i jej stokach „liptowskich, (zatem już po stronie węgierskiej), z których „ramie wschodnie nad doliną kamienistą zwą: „Jeleniami „perciami“ (dowód, że jelenie były dawniej w Tatrach) — „na Czerwonych wirchach, nad Gąsiennicowemi stawami, „koło Świnnicy aż ku ostatnim dwóm stawom Gąsiennico- „wym, koło Kościelca i Zawratu, w Pańszczycy, koło pię- „ciu stawów polskich, w Walksumdzkiej, najwięcej na dzi- „kim Wołoszynie, potem na Koszystej i na Granacie, „w Buczynowej, i koło tak zwanych Czarnych Ścian, „czyli Koziego Wierchu nad Zmarzłym przy Zawracie. Na- „wet na Giewont zaszedł raz w zimie cap z Gołych Wier- „chów. W turniach kasprowskich kozice także się poja- „wiają, a zdaniem strzelców zakopańskich dochodziłyby „one nawet do Magóry, gdyby miały spokój. Główną atoli „ojczyzną tych zwierząt w Tatrach, jak się rzekło powy- „żej, są turnie spiskie i liptowskie od Międuszowieckiej „i Krywania aż po Łomnicę“.

Zatem, jak mówiłem, przeważnie po stronie węgierskiej.

Hr. Władysław Koziebrodzki, jedyny może obok Homolasców prawdziwy myśliwy, który w Tatrach na kozice polował wraz ze Stanisławem Wodzickim w r. 1861, szukał ich także koło Krywania, jako „okolicy obfitującej najwięcej w kozice“. Widział zaś kozice na jednej z odnóg Grubego wierchu, a więc tam gdzie i dziś gó-

*) „Zęby ostawić“ rozumie Józek „kości zostawić“

rale każdego chcą prowadzić, kto chce na pewne kozice widzieć, na Szczerbatej, na północnym stoku Baszty. Zabił zaś wtedy ślicznym strzałem kozła Edward Homolacs na Rysach, a przewodnik i zarazem „skrytostrzelec“, jak kłusowników Nowicki nazywa, Sieczka, drugiego kozła na Miedzianem.

Ja chodziłem na Łomnicę, Rysy, Kozi wierch, Krzyżne, Mięguszowieckie, Polski grzebień, Świnnicę, nie licząc wielu mniejszych wycieczek, i widziałem tylko dziewięć kozic — z tych trzy na stronie polskiej, sześć zaś na stronie węgierskiej.

Miałem tę satysfakcyę, że pierwszą w życiu widzianą kozicę, wypatrzyłem sam na stokach Żabiego nad Morskiem Okiem. O jakie trzysta metrów nad nami stał na piargu, zdaje się, kozioł samotny i szukał czy jakiej trawki, czy też może pił wodę, bo głowę miał schyloną. Byłbym się dłużej cieszył jego widokiem, gdyby nie mój



Józek, któremu pokazałem kozice, nie był zaraz włożył palców w gębę i nie zaświstał. Jeszczem nie widział górala, żeby nie uważał sobie za święty obowiązek spłoszyć kozicy świstem, gdy ją zobaczy. Nie bardzo też byłem mu wdzięczny za to. Drugą kozicę z pewnością kozła starego, widziałem po zejściu z Rysów, już na stronie węgierskiej, na przełęczy, z której schodzi się ku Żabim stawkom. Widocznie spotkaliśmy się na jego wekslu, bo skoro przechyliliśmy się za przełęcz, zobaczyliśmy go na upłazku pod Kopkami, odwróconego od nas i powoli i jakby niechętnie usuwającego się nam z drogi. Poszedł pod skałę i tam stanął, zwróciwszy się do nas łepkiem. Gdyśmy mu się dobrze napatrzyli — stał nie więcej jak 500 metrów od nas — zaczęli nasi przewodnicy świstać, w końcu klaskać w ręce, udawać strzały i t. p. Wszystko to nic nie pomogło — stary, mądry cap nie robił sobie nic z tego hałasu, wodził za nami oczyma, zwracając łepek to w tę to ową stronę i świecąc białemi policzkami, stał spokojnie. Siedliśmy nad Żabim stawem, i posilaliśmy się, obserwując go ciągle. Bardzo się nam ciekawie ciągle przypatrywał, w końcu, gdy widział, że weksel jego już wolny, poszedł wolno w „bule“, dał kilka sprężystych skoków po skale, zniknął nam na jakie pięć minut w jakimś załomie, potem pojawił się znowu i już wolno poszedł przez przełęcz. Przewodnicy nasi mówili, że to ich „chowany cap z Rysów“. Zacząłem się rozpytywać — odpowiedzieli mi, że go „chowają chlebem“ nad Czarnym stawem. — Jakto chlebem chowacie? pytam. — A bo mu dajemy chleb, jak przechodzimy. — Jakto, może z ręki je, pytam się, oczywiście z kpinami. — Nie, z ręki nie je, ale my mu „pieremy“ *) chleb a on jak odejdziemy, przychodzi i zjada. Błogosławiony, kto wierzy — chociaż rzeczywiście cap ten wyglądał na bardzo z widokiem ludzi obytego i pozbawionego zwykłej kozicom podejrzliwości. Byłbym go o zakład zeszedł tam na strzał ekspresowy, Siedząc przy podwieczorku usłyszeliśmy nagle gwizd świstaka — za chwilę zaczęły się odzywać na wszystkich ścianach doliny świstaki — oglądamy się zdziwieni w około i widzimy wspaniałego orła, ciągnącego od Hińczowych Stawów prosto ku nam. Świstaki sygnalizowały go w ten sposób. Przepłynął nad nami na ładny strzał sztućcowy i zniknął za załomem skały. Jakże ręka świerzbiała!

Tego samego dnia był w tej dolinie ogromny kierdel kozic. Gdyśmy się drapali na Rysy i dosięgali już szczytu, dochodzą nas z góry jakieś okrzyki i za chwilę widzimy wśród mgły skaczącą po kamieniach jakąś panienkę a za nią przewodnika slowackiego, wyżej zaś jakąś marsową postać, z której przez turystę przeglada myśliwy. Musi nim być widocznie, bo gdyśmy się zbliżyli na

*) Pieremy — rzucamy.

kilkanaście kroków, zanim go jeszcze poznałem, widzę, jak się z laski składa jak ze strzelby i woła do mnie: „Czemu Pan nie wziął ze sobą tego — dopiero co po „tamtej stronie widzieliśmy kierdel kozic, może z pięć- „dziesięciu sztuk złożony“. Poznaję w nim naszego towarzysza i delegata p. E. R.. — Panienką była jego żona — jeżeli będzie przypadkiem czytała te słowa, niech mi przebaczy pomyłkę, ale usprawiedliwieni byliśmy tem, że i w naszem towarzystwie, była obok prawdziwej panienki i obok mojej żony, wiekowej i poważnej kobiety, mężateczka, nosząca poważny tytuł „pułkownikowej“, której górale ani rusz inaczej tylko „panienką“ nazywać nie chcieli i nie chcieli nam wierzyć, gdy im mówiliśmy, że ta „panienka“ jest mężatką. Bardzo przyjemne było to spotkanie na wysokości 2400 m. — pomówiwszy chwilę o kozicach i pożałowawszy się nawzajem, że taką wycieczkę z gołemi rękami robić trzeba, rozeszliśmy się w przeciwne strony. Niestety tego dużego kierdela już nie zastaliśmy, tylko tego kozła, o którym mówiłem wyżej.

Na drugi dzień szliśmy z Popradzkiego stawu przez sławną przełęcz mięguszowiecką, czyli jak ją górale nazywają „pod Chłopkiem“. Węgrzy nazywają tę przełęcz „Wildererpass“, bo podobno tamtędy uciekali nasi kłusownicy z upolowaną na dolinie mięguszowieckiej kozicą. Jest ich tam rzeczywiście więcej. W tym dniu widzieliśmy przy Hińczowskich stawach trzy kozice, jednę osobno, a dwie razem. Były może na odległość 600—700 metrów. Były dość spokojne, ale powoli oddalały się od nas. Jedna zrobiła nam tę przyjemność, że z upłazku wbiegła na skały i dała kilka potężnych susów w górę. Tu znowu pojawił się, zdaje się, ten sam orzeł, co wczoraj i opłynął cały staw hińczowski w naszych oczach. Świstaki przyświstywały mu kolejno po wszystkich skałach, do których się zbliżył. Żona moja znalazła tu pod kamieniem czaszkę małego świstaka, doskonale spreparowaną przez deszcze i mrówki. Główka ta ma w górze czaszki załamanie prawdopodobnie od dzióba orlego, który musiał być przyczyną śmierci tego malca.

Gdyśmy już podchodzili pod samego Chłopka, posłyszeliśmy szelest spadających ku nam kamyków ze skały nad nami sterczącej. W jednej chwili stanęliśmy cicho. Usłyszeliśmy chrapliwy gwizd kozicy, potem znowu trochę kamyków spadło i wszystko ucichło. Idąc dalej znaleźliśmy na miejscach, przykrytych przybitym przez deszcz drobnym żwirem, ślady kozicy i koźlęcia. Minął jakiś czas, gdyśmy, już daleko przed sobą na turni mięguszowieckiej, usłyszeli świst kozicy, a Wojtek Juhas idący z nami zaręczał, że słyszał także bek koźlęcia. Ujrzeliśmy rzeczywiście schodzącą z turni kozę, która ponad nami, skałami i przełęczą, do której dążyliśmy, na drugą stronę obeszła, a kilkanaście kroków za nią ciemniejszego od niej, prawie czarnego dyabełka, z łapkami obrosłemi, który zdążał za nią, widocznie już tą daleką podróżą zmęczony. Oba te zwierzątka, doszedłszy na grań, odbijały ślicznie od jasnego nieba, które im za tło służyło i pozwalało nam je jak najdokładniej obserwować.

W trzy godziny po opuszczeniu wygodnego hotelu przy Popradzkim stawie, zdążyliśmy na przełęcz. Nie jest ona zdaniem naszem, tak trudna, jak ją przedstawiają — widok z niej za to prześliczny. Kawałek świata, który widzi się z tej przełęczy, przedstawia się jak marzenie. Morskie Oko i Czarny Staw grają wszystkiemi barwami tęczy. Woda pasami ma od granatowej, szmaragdowej począwszy a na różowej przy brzegach skończywszy, wszystkie pośrednie barwy — Deotyma ma też słuszność, gdy mówi:

Jak mieniące pióra pawie
Tak się mieni wachlarz gór,
W Tatrach świeci staw przy stawie,
Jakby oczy pawich piór!

Opisać ten widok niech się kto inny sili, ja szczęśliwy jestem, że go odczuć potrafię i że rozumię tego plebana z którejś podgórskiej wsi, ks. Pleszowskiego, który, jak opowiada o tem równie wielki wielbiciel Tatr, ks. Stolarczyk, wyszedłszy po raz pierwszy na Zawrat i ujrzawszy roztaczający się stamtąd wspaniały widok, padł na kolana, zaintonował „Te deum laudamus“ i rozpłakał się rzewnie ze wzruszenia. Górale, jak mówi ks. Stolarczyk, poklękali koło niego i może szczerzej i goręcej się modlili niż w kościele. To wzruszenie ten tylko może pojąć, kto oglądał cuda tatrzańskiej przyrody nie od Sieczki lub Płonki, lecz ze szczytów. Ten pojmie, że jeden chwali tu Boga na kolanach, drugi, w którego ten Bóg tchnął geniusza, powraca często myślą do tych gór i wielbi ich piękność także pieśnią:

O wielki poemacie natury! Któż może
Iść w ślad za Twych piękności natchnieniem wiecznystem?
Kto uchwyci poranku wzlatującą zorzę
I zapali rumieńce na niebie gwiaździstem?

Kto wyrzeźbi kamienne wodospadu łoże,
Przemówi szumem fali, wichru dzikim świstem?
Srebrno chmurki zawiesi w szafirów przestworze
I odbije skał ostrza w wód zwierciadle czystem?

O wielki poemacie! ciebie tylko można
Odczuć i wielbić razem w drgnieniu serca skrytem
Gdy pijąc wszelkie blaski, źrenica pobożna

W cichem zachwycie tryśnie źródłem łez obfitem,
Gdy na skrzydłach tęsknoty dusza leci trwożna,
I nakrywa się własnych marzeń swych błękitem!

(El...y).

Przepraszam za dygresyę — powtarzam, kto był w Tatrach i ma oczy ku patrzeniu, ten entuzyazm mój zrozumie.

Wracam do kozic. Na jednej z wystających skał mięguszowieckich, które patrzącemu od Czarnego Stawu wydają się płaską ścianą, usiedliśmy, aby sobie odpocząć i popatrzyć na zachwycający widok. Wtem posłyszeliśmy szelest pod sobą i na skale pod nami wysuniętej, widzimy w biegu dwie kozice, dążące do góry. Zdawało się, że je ręką można dostać, tak je wyraźnie i dokładnie było widać. Niestety, niedługo ten widok trwał, zniknęły one za chwilę za skałą i tylko po szmerze obsuwających się kamyków domyślaliśmy się, w którą stronę pobiegły.

To były ostatnie kozice, które widziałem — państwo R., których tego samego wieczora spotkaliśmy w Roztoce, opowiadali, że na Miedzianem zeszli dwie kozice na pięćdziesiąt kroków.

Zeszedłem spory kawał Tatr polskich i zobaczyłem wszystkiego trzy kozice na tej stronie — jest to tak mało, że absolutnie można twierdzić, iż ich 1000 na naszej stronie nie ma. Mówili wprawdzie nasi przewodnicy, że je zwykle widują pod Świnnicą, na Buczynowej, ale nie było

ich tam wtedy, gdym temi miejscami przechodził. Wątpię bardzo, żebym miał przeciętnie gorsze „spotkanie“, niż kto inny, zresztą nie słyszałem od nikogo, żeby znacznie więcej, niż ja, kozic po naszej stronie widywał. Nie musi ich zatem być jeszcze wiele.

I nic dziwnego. Mają one wielu jeszcze nieprzyjaciół. Wyliczył ich śp. Nowicki w swojej znakomitej pracy i postawił na pierwszym planie człowieka. Jest to słusznem i w dzisiejszych stosunkach — do dziś dnia kłusownik najwięcej krzywdy robi kozicom — strzelba i oklepce najwięcej ofiar pochłaniają. A ile tych strzelb po chałupach górskich się znajduje!

Na szczęście, dość surowo za zastrzelenie kozicy sądy tamtejsze karzą. O wypadkach takich, jaki zaszedł u mojego sąsiada, że dziewięć miesięcy w „inkwizycie“ przesiedział, słyszałem dosyć, ale niestety żyłka pomimo kar i niebezpieczeństwa ciągnie górala do kłusownictwa. Mniej wierzę w to, że robi on to dla zysku, sądzę raczej, że czyni to z namiętności myśliwskiej, którą łatwo rozumię. Nie mówię tu oczywiście o tych, którzy łapią kozice w barbarzyńskie oklepce, bo to pospolici zbrodniarze. Niszczy kozice, szczególniej młode, także orzeł. Opowiadano mi, że nawet starą kozicę samotną tak długo bijąc skrzydłami napędza na urwiska, aż ją nareszcie zrzuci ze skały i wtedy pokaleczona staje się ona jego łupem. Nowicki i inni nie przypuszczają, żeby niedźwiedź mógł kozicę złapać — tymczasem tego roku właśnie się to zdarzyło, a po spostrzeżeniach p. Martyńca co do łapania jeleni przez niedźwiedzia poczynionych, wierzę teraz, że miś tatrzański nieraz kozicą się uraczy. W dziennikach pojawiła się w sierpniu t. r. wiadomość, że pod schroniskiem przy Morskiem Oku pokazał się niedzwiedź, do którego bezskutecznie strzelano. O tym wypadku otrzymałem następujące sprawozdanie od Jaśka Buca, leśnego w dobrach hr. Zamoyskiego. Szedł on sobie wieczorem z Żabiego i natknął na niedźwiedzia, raczącego się upolowaną przez siebie kozicą. Zaczął na niego krzyczeć, a gdy ten nie wiele sobie z tego robił, zbliżył się do niego i „bił ciupagą w kamień“. „Dlaczegożeś go odpędzał“ pytam Jaśka. „Locegóz on ma jeść minso, ba jo!“ odrzecze Jasiek i dalej opowiada, jak niedźwiedź mruczał, nareszcie zniecierpliwiony, skoczył ku Jaśkowi. Ten schronił się na „kamień“, i szczęście, że miał przy sobie „świeczkę“*) — zapalił ją szybko i zaczął go nią odstraszać, aż niedźwiedź poszedł. Wtedy on wziął kozicę — „przodek już zbabrał, ale zadek był dobry, tom zjod“, kończył Jasiek. Potem wybrał się do niego ze strzelbą, ale że strzelbę ma do niczego, więc choć strzelał do niego, nic mu nie zrobił. Niedźwiedź poszedł w dolinę Roztoki i tam go podobno jeszcze raz widziano.

P. Zduń ma racyę w tem, że właściciel polowania miałby interes w strzeżeniu polowania, gdyby mu wolno było uważać kozice za zwierzęta łowne, żeby ustanowił straż łowiecką, którąby strzegła rewiru i przeszkadzała kłusownikom w ich rzemiośle. Ale to jest jedyny argument, bo liczbą obecną kozic, po naszej stronie przebywającą, wątpię żeby można było przekonać ustawodawcze sfery, że zmiana ustawy jest konieczna, a nawet możliwa.

Opieka nad kozicami byłaby bardzo potrzebna, bo choć to stworzenie bardzo płoche i w takich mieszkające obszarach, że trudno sobie pomyślić o opiece takiej, jaką się np. nad sarnami roztacza, jednakże da się i w tym kierunku coś zrobić. W jednem z pism niemieckich czytałem świeżo, że żywienie kozic w zimie jest możliwe i że one pożywienie im dawane przyjmują.

Że można kozicom pomóc w zimie, świadczy fakt, że w rewirach króla włoskiego, które są jedynymi ostojami dla koziorożca, udaje się poddawaniem karmy utrzymać tę ciekawą zwierzynę przy życiu. Koziorożec, który przebywa w tych regionach, do których już kozica nie zachodzi, korzysta z pomocy ludzkiej, tem bardziej więc kozica może z tej pomocy korzystać, choć w kołach myśliwskich długo myślano, że to nie jest możliwe, że musi ona sama sobie być zostawioną. Udowodniono to zresztą w Alpach, gdzie z powodów gospodarki lasowej zamknięto dla kozic te okolice, w których najłatwiej jej przebyć zimną porę roku. Musiano się bowiem postarać o jakąś kompenzatę dla kozic wypartych wyżej.

F. C. Keller, który życie kozicy opisał w swojem cennem dziele, pod tytułem „Die Gemse“, mówi w niem:

— Powszechnie twierdzą, że kozice nie potrzebują, a względnie nie przyjmują podawanej im karmy zimowej. Prawdą jest, że kozica przewyższa wszystkie inne zwierzęta wytrzymałością i zdolnością do życia i mnożenia się w najnieprzystępniejszych warunkach, i że o dużo łatwiej niż jelenie i sarny wytrzymuje silne zimno i śnieżyce. Miałem nieraz sposobność obserwować, że kozice całkiem spokojnie leżały sobie na wystawionych na wiatr i zamieć miejscach, podczas najgorszej śnieżycy, i nic sobie z tego nie robiły, że zamieć obsypywała je śniegiem. Prawie bawiły się latającemi im obok pyszczków płatami śniegu, tylko co jakiś czas szybkim ruchem główki zrzucały śnieg, który im już oczy zasłaniał. Liczne spostrzeżenia nowsze dowodzą niewątpliwie, że słaby stan kozic można bardzo wysoko podnieść, jeżeli się tę zwierzynę chroni przed dwunogim drapieżcą i jeżeli się poluje na nie racyonalnie, oczywiście z największem oszczędzeniem kóz.

— Możnaby, nawet z pewną słusznością, twierdzić, że żywienie kozic nie jest koniecznie potrzebne, bo one są dość silne, żeby się przez zimę przebić, nie można jednak powiedzieć, żeby takie żywienie zasługiwało zasadniczo na potępienie i żeby było bezwarunkowem marnotrawstwem.

— Długi szereg doświadczeń przekonał mnie, że podawanie karmy w zimie tam, gdzie topograficzne stosunki na to pozwalają, jest pracą, która się rentuje i która próżnym mozołem nazwaną być nie może. Jest mnóstwo rewirów, gdzie praca ta byłaby daremną, ale tam stosunki są specyalnie niedogodne. Jeżeli się o podawaniu karmy w zimie myśli, to oczywiście trzeba znać jak najdokładniej rewir i zimowe zwyczaje kozic i stąd odcyfrować sobie pro i contra żywienia.

— Od lat całych mam zwyczaj, że czytam sprawozdania wiosenne wszystkich austryackich i niemieckich pism łowieckich i że szczególną uwagą zwracam na sprawozdania o przezimowaniu zwierzyny.

— Ze sprawozdań tych wynika, że pomimo wytrzymałości kozicy, pomimo jej siły i stosunkowo wielkiej odporności na teluryczne i klimatyczne wpływy, liczba kozic co roku w zimie ginących jest znaczną, ale stosuje się do jakości zimy. Według dziesięcioletniego przecięcia z bogatego bardzo materyału, ginie trzy piąte corocznej straty z powodu lawin śnieżnych, dwie piąte ginie z powodu

*) W kawałek kory nalewa góral żywicy i to mu w razie potrzeby służy za pochodnię. Nazywa się to „świeczką“.

niedostatecznego pożywienia i z powodu osłabienia, co zresztą jest skutkiem braku odpowiedniego pożywienia i gwałtownego przejścia ze suchej paszy zimowej do paszy wiosennej. Rewiry, w których dziesięć, dwadzieścia a nawet trzydzieści kozic ofiarą zimy pada, są dosyć liczne. Najwięcej kozic ginie w takich zimach, które zaczynają się zimnym deszczem, jeżeli po nim następuje silne zimno i spada śnieg. Grunt pokrywa się wtedy silną warstwą lodu, która tylko w niektórych miejscach ostremi raciczkami przebić się daje. Pożywienie znajduje się pod tą pokrywą lodową i wtedy może nastać bardzo silny głód między biednemi kozicami. W jednym ze znanych mi rewirów, który liczył 500 kozic, padło w takiej zimie 86. Siedm kozic padło ofiarą staczającej się lawiny — reszta uległa głodowi. Jest to, jak widzimy, bardzo silny procent. Chociaż wypadek taki jest wyjątkowy, w każdym jednak razie jest to cios przez długie lata dający się odczuć.

— Trzeba być samemu myśliwym, aby taką katastrofę zrozumieć. Jakaby to była przyjemność, gdyby te ofiary głodu mogły były paść w czasie pory polowania!

— W ogóle przyjmuje się, że strata zimowa jest tem większą, im twardszą jest owa krusta lodu, im wyżej zwierzyna musi przebywać zimę, i im wyższe są zaspy śniegowe. W miejscach niższych, chronionych lasami wysokopiennymi prawie nie ma strat. Ten fakt daje do myślenia. Nie wszystkie rewiry są tak położone, żeby kozice mogły zejść w zimie do niższych, lasem albo krzakami pokrytych terenów i tam odszukiwać sobie pożywienia.

— Dać zwierzynie takie tereny nie zawsze w naszej jest mocy. Nie możemy także uchronić ich przed spadającemi lawinami, które niekiedy cały kierdel pod sobą grzebią. Wobec tego wszystkiego stoimy bezsilni. Ale możemy im pomóc niekiedy tem, że zaradzimy choć w części brakowi żywności, oczywiście tam, gdzie stosunki topograficzne na to pozwalają. Kozice nie biorą się tak łatwo do zimowej karmy, dawanej naprzykład jeleniom w wysoko położonych rewirach. Stwierdzono to dokładnie, że kozice nie przychodzą do pożywienia zadawanego jeleniom lub sarnom. Słyszy się to i czyta w pismach łowieckich. Że kozica nie przychodzi do jelenich i sarnich żerowisk, że unika ich z niepojętym uporem, że nie chce brać jadła tak prawie bezpośrednio z ręki myśliwego, to jest rzeczą znaną, którą zauważył nie jeden z myśliwych — żeby jednak pogardzała każdem pożywieniem w zimie, któreby w odpowiedniem miejscu i odpowiednio podane znalazła, to nie jest prawdą. Czasem bierze ona to pożywienie, ale przy podawaniu liczyć się trzeba z jej płochliwością i niedowierzającem usposobieniem.

— Przed dwudziestu laty szedłem z pewnym starym strzelcem miejscowym przez góry w Graubündten. Na dzikiej, romantycznej polanie, otoczonej rzadkiemi drzewami, leżał jeszcze skąpo śnieg. Niedaleko od ujścia doliny, stały dwie kopice siana, które, jak mi mówił strzelec, nie mogły być zwiezione albo zniesione z powodu za wielkiego śniegu. Kopice te, aż do wysokości trzech metrów, były porozrywane, były podminowane dużemi dziurami, na około nich zaś leżało pełno łajen kozic, a na niknącym śniegu pełno było krzyżujących się tropów tych zwierząt. Tropów tych było tyle, jakby sobie wszystkie kozice kantonu dały tu rendez-vous. Widziałem to po raz pierwszy i stanąłem zdziwiony. Strzelec jednak oświadczył mi, że to nie jest rzadkością, że kozice schodzą się zawsze w tych miejscach, gdzie się znajdują stogi siana, pozostałe w górach z jakichkolwiek bądź przyczyn, że kopią sobie w nich dziury, w których leżą jak pod dachem. Jeżeli tylko widzą, że ich człowiek tam nie niepokoi, to zostają tam przez całą zimę. Strzelec ten opowiadał mi o jakimś starym myśliwym, który był tak surowym w przestrzeganiu swojego prawa polowania, że nikt nie śmiał mu wdzierać się w jego rewir, chociaż tam znajdowało się najwięcej i najsilniejszych kozic. Było to zagadką dla wielu — posądzano nawet starego strzelca o czary. Dopiero po jego śmierci rozwiązaną została zagadka. Stary strzelec zostawiał po całym rewirze tu i owdzie porozrzucane mniejsze lub większe kopki siana. Kozice wiedziały o tem i z nadejściem zimy ściągały do jego rewiru, wiedząc na pewno, że tu znajdą pomoc w ciężkich chwilach. Strzelcem tym był nie kto inny, tylko slawny Colani, największy myśliwy na okolicę, który znał najlepiej tę zwierzynę i jej naturę. (Wspominał o nim także prof. Nowicki w swojej pracy). Ten fakt dał mi wskazówkę na przyszłość, mówi Keller. W rewirze, który wkrótce potem dostał mi się w opiekę, były stosunki tego rodzaju, że mnie zachęcały do naśladowania Colaniego. Było tam kilka upłazów, które z powodu trudnego dostępu nie były koszone, bo sprowadzanie siana było połączone z zanadto wielkiemi trudnościami. Kazałem je skosić w sierpniu i ustawić trzy wielkie kopice. W zimie ta część rewiru była niedostępną, nie mogłem jej więc zwiedzać, choć za to z drugiej strony byłem pewny, że żaden z kłusowników tam się nie dostanie. Dopiero z wiosną poszedłem tam. Już zdaleka po śladach zobaczyłem, że tu kozice przezimowały. Kopy siana dały wyraźny dowód. Były do połowy zjedzone, a znajdowały się w nich pokopane otwory, które musiały sprowadzić ich upadek. Najwięcej zajęły się kozice kopą, która stała w niewielkiem oddaleniu od kilku jodeł tam rosnących. Ilość łajen świadczyła, jak często kozice tu przebywały. Kilka sztuk, które udało mi się ujrzeć, było w najlepszej kondycyi, chociaż zima była silna. Następującego lata widziałem wiecej kozic o kilka sztuk, niż przedtem. Przepędziły one tu widocznie zimę i już z rewiru nie wyszły. Największa część koźląt była bardzo silna i rosla doskonale w lecie. Mogłem sobie zatem tylko powinszować wyniku mojej opieki zimowej. Późniejsze lata pokazały mi, że nie był to tylko przypadek. Najwięcej cieszyło mnie to, że w zimie z kozic bardzo mało zginęło i to prawie wyłącznie tylko z przyczyny lawin.

Żywienie kozic za pomocą takich wolno stojących brogów jest ze względu na marnotrawienie siana niepraktyczne. Choć się nawet stogi korą przykryje, to i tak wiatry wyrwą znaczną część siana, drugą rozrzucą kozice i rzucą sobie pod nogi — gdy się zaś raz pomiesza ona z łajnami, nie wezmą jej do pyska. Praktyczniejszą zatem rzeczą jest zamieszczać małe kupki siana pod wystającemi skałami, w bliskości pyrci kozicych, tak, żeby one były wyżej położone, ale mogły być dosięgnięte przez kozice. Podstawą takiej kupki powinna być drabinka, której szczeble powinny być tak zrobione, aby kozice rożkami się nie zaczepiały, albo też jeżeli się zaczepią, łatwo się uwalniały. W takiej stale umieszczonej drabince można więcej siana zostawiać, jeżeli skała jest dla niego ochroną. Siano trzeba ugnieść, aby wiatr go nie rozniósł. Gdy kozice wyciągną dolną warstwę, spada warstwa dalsza, tak że zawsze łatwo pożywienia dosięgnąć mogą. Drabinki same powinno się stawiać zaraz z początkiem lata, żeby jasno świecące drzewo pociemniało i żeby jeszcze w lecie kozice do niego się przy-

zwyczaiły. Jeżeli się postawi takie drabinki w jesieni, można na pewno rachować, że kozice nie ruszą siana w zimie wcale, bo się tej inowacyi z niedowierzaniem przyglądać będą. Bardzo dobrą rzeczą jest posypywać siano przy mieszaniu solą i rozsypać jej trochę po ziemi w bliskości karmy, bo to ściąga kozice. Stojących samotnie w rewirze drzew, jodeł, można także używać jako miejsc do umieszczania karmy. Zebrane siano wiąże się silnie w niewielkie wiązki i zawiesza się je na spuszczonych konarach jodły, jednakże tak, żeby wiatr niemi nie za bardzo poruszał, a tak wysoko, aby je kozice łatwo dostać mogły. Do wiązania używa się świeżych z jodły lub świerka naciętych gałązek, które zwija się tak długo w rękach, póki nie dadzą się dobrze zawiązać. Takich wiązek można pięć do dziesięciu przywiązać przy jednym drzewie, w miarę jego rozgałęzienia się.

(Dok. nast.) *St. M.*

„O polowaniach na wilki w Galicyi".

W jednem z najpoważniejszych pism łowieckich w Austryi pojawił się niedawno opis polowania na wilki w Galicyi, który jest tak zabawny, że uważamy za stosowne podać go w całości naszym szanownym czytelnikom. Zdawałoby się, że to nie tak daleko z Wiednia do Galicyi i że nasze stosunki łowieckie zawodowym pismom wiedeńskim mogłyby być lepiej znane — tymczasem pokazuje się, że jesteśmy tak dalecy oczom tych kół, jak jesteśmy także ich sercom dalecy. Autor tego opowiadania połapał jakieś wiadomości o polowaniach na wilki w oczeretach ukraińskich, przeczytał anonse o chartach długowłosych, znanych obecnie jako psy zbytkowne w Niemczech pod nibyto rosyjską nazwą „barsoi", posypał to wszystko dwumetrowym śniegiem i podał z aplombem godnym lepszej sprawy swoim czytelnikom jako oryginalną korespondencyę o wrażeniach osobiście przeżytych. Pozwólmy mu mówić samemu:

— Pędzimy po bezdrożnym, śniegiem zasypanym stepie dopóty, dopóki las nie przetnie nam drogi. Tak podróżuje się w zimie w większej części Galicyi. Każdy kraj ma co się tyczy łowiectwa odrębną swoją charakterystykę — tak też jest i z Galicyą, tym wschodem monarchii austro-węgierskiej. Nieprzejrzane równiny tego kraju dają w zimie miłośnikowi łowiectwa tylko tam obfitą sposobność do polowania, gdzie płaszczyzna graniczy z lasami i ostępami. Te ostatnie zarośnięte prawdziwym lasem szuwarów, stanowią siedlisko licznych stad wilków, które w czasie głodu zagryzają się wzajemnie i pożerają się, jak to mówią, „z kośćiami". To samo dzieje się, gdy który z wilków na polowaniu zostanie postrzelony.

Nie mam pojęcia, skąd biorą się tu takie ilości wilków i czem one się przez cały rok żywią. To pytanie stawia sobie każdy, kto podczas podróży lub polowania, które trwało aż do wieczora, jadąc ku domowi, słyszy naokoło siebie wycie wilków, towarzyszące mu aż do miejsca przez ludzi zamieszkałego i rozpoczynające się na nowo, gdy osadę ludzką się minie. Pod stojące na ustroniu zagrody lub leśniczówki podsuwają się co nocy wilki, tak że puszczać się samotnemu podróżnikowi do tych zakątków zgoła niepodobna. Dość zatem jest tu sposobności do polowań w wielkim stylu na wilki, które to polowania tem się jeszcze odznaczają, że nie potrzebują żadnych specyalnych przygotowań i że nie są wcale trudzące. Sanie, zaprzęgnięte ognistymi rumakami przenoszą myśliwych na miejsce polowania, które już na kilka godzin przedtem obława, o ile możności jak najliczniejsza, pod dowództwem doświadczonej służby, naokoło obstawiła. Rzecz naturalna, że las przedtem obcinają i tropią — w oczeretach tropienie jest zbyteczne, bo w tych zawsze są wilki, a jeżeli tylko są one trochę większe, nawet kilka gniazd wilków w nich się znajduje. Myśliwi obstawiają miot. Kilka zaprawionych rosyjskich chartów stoi w pogotowiu, aby wytykające wilki napowrót do miotu wpędzić lub postrzelone dochodzić. Tu i owdzie stoi także konno strzelec, który w razie potrzeby uciekającego wilka napędza na myśliwych lub na psy.

Ostatniej zimy zawiodły mnie losy do obszernych posiadłości Barona R., który jest znany jako jeden z najzapaleńszych amatorów polowania na wilki i który posiada taką psiarnię, jakiej drugiej nie znam. Krótka depesza, nadana w czasie dłuższego przestanku na jednej ze stacyi kolejowych, zawiadomiła go o moim przyjeździe, wskutek czego przy wjeździe na ostatnią stacyę ujrzałem jego wyniosłą, zatuloną w futro, przenoszącą głową całe swoje otoczenie, postać. W trzydziestu minutach wpadł okryty pianą zaprzęg na podwórze zamku, gdzie nas przywitało przerażające naszczekiwanie dwudziestu chartów „barsoi". No, pomyślałem sobie, gdyby ta psiarnia wzięła kogo między siebie, temu chyba wybiłaby ostatnia godzina. Na głos pana jednak szczekanie zmieniło się w radosne skomlenie, ale żaden z psów nie spuścił mnie pomimo tego z oka.

W pół godziny byłem gotów z toaletą i znalazłem się w ciepłej sali, w której głębi stał nakryty na dziesięć osób stół. Siedliśmy do stołu, ponieważ zaś przybyłem tylko dla polowania a dłużej niż dwa dni zabawić nie mogłem, musieliśmy zaraz przystąpić do omówienia i zarządzenia polowania. Pygotowania ograniczyły się właściwie tylko do oznaczenia rewiru i do zawiadomienia wójta owej gminy, aby do rewiru przysłał obławę. Prosiłem, abyśmy polowali z nagonką i ze strzelbami — musiałem jednak przyjąć zaproszenie od jednego z obecnych sąsiadów gospodarza na polowanie z psami, które miało się odbyć zaraz nazajutrz.

Z ciężką głową udałem się koło drugiej godziny po północy do mojego pokoju, otrzeźwiłem się trochę ablucyą głowy i szyi i zasnąłem. Spałem długo i twardo. Jak gdyby ukąszony przez tarantulę zerwałem się już za białego dnia i w pierwszej chwili nie mogłem sobie zdać sprawy, gdzie się znajduję. Zdziwiony ujrzałem syczący na stole samowar, który był przyczyną mojego obudzenia się. Rzuciłem wzrokiem na zegar — czyżby to było możliwe? godzina dziesiąta, zatem ośm godzin przespałem!

Tak było w rzeczywistości, ale zaspałem tylko wspólne śniadanie, bo tak wcześnie polowanie na wilki nigdy się nie zaczyna. Szybko ubrałem się i zeszedłem do sali jadalnej. Tutaj zastawione było obfite śniadanie — po półgodzinie popędziliśmy w pokryty śniegiem step, tak, że wprawdzie nie kamienie i iskry, ale za to tem liczniejsze grudki śniegu, wylatywały z pod kopyt koni i obsypywały nam twarze. Była to piekielna jazda — jazda przez doły, korzenie, oraninę! Jeszcze dziś się wydziwić nie mogę, że dojechałem na miejsce z całemi kościami. Tutaj płonął olbrzymi ogień, z którego dym kłębił się ku szuwarom, nie wiele dobrego znajdującym się w nich wilkom obiecując. Niejeden z nich nie przeczuwając nic dobrego chciał się wymknąć z szuwaru, ale okrzyk, wydany przez konnego naganiacza, lub zaszczekanie charta wystarczało, żeby wilczysko napowrót w szuwarze się ukryło.

Myśliwych rozwieziono saniami na stanowiska — gospodarz dał znak trąbką i gon rozpoczął się. Ha, warto było widzieć, jak tu i tam nagle wychylała się morda wilka! Strzał — i znowu niknęła, — aby o jakie pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kroków znowu się pojawić. To bieganie trwało ze cztery godziny, potem zaczęły dwa czy trzy wilki salwować się ucieczką w pole. Strzał padał za strzałem, tutaj jeden wilk ruluje — drugi i trzeci nie lepszego doczekał się losu, któryś z nich podnosi się i kulejąc stara się umknąć, ale dalsze strzały powalają go na ziemię.

Na drugiej stronie oczeretów odbywała się także kanonada i słychać było częste nawoływania konnych naganiaczy i naszczekiwania psów, jednakże nie chartów. W oczerety nie wolno było pod żadnym warunkiem strzelać, z tego powodu pewna liczba wilków została w oczeretach i nie dała się wyprzeć na pole. Posłano w oczerety kilka psów owczarskich — dopiero rozpoczęła się walka! Jeden z psów nie wrócił.

Co to był za obraz wspaniały! — Kilku jeźdźców pędziło po równinie, przed nimi sfory chartów, które w kilku susach dopędzały wilka i dusiły go lub przytrzymywały tak długo, dopóki jeździec nie zeskoczył i uderzeniem w nos nie zabił zwierza.

Pomimo tego co chwilę jeszcze wypadał wilk z oczeretów, tak jakby one były niewyczerpane, w końcu nastał spokój. Wtedy można było przekonać się o chytrości i przebiegłości wilka. Na dwadzieścia lub trzydzieści kroków od oczeretów leżał wilk, jak się zdawało, nieżywy — wtem zerwał się i jak strzała pomknął w oczerety. Biada mu, gdyby był szukał ratunku w polu, albo byłby go rozciągnął posłany za nim strzał, albo też byłyby go dodusiły charty.

Po kilku godzinach odtrąbiono. Na nowo rozłożone ognisko słało gęste kłęby dymu w niebiosa, a strzelcy posilali się obfitem śniadaniem, przywiezionem z domu. Zabite wilki tymczasem wyciągano i posyłano na saniach do pałacu. Już zaczęło się zmierzchać, gdyśmy posiadali na sanie i wozy. Droga powrotna odbywała się wolniej i ostrożniej niż jazda ranna.

Przeciągłe wycie odezwało się z daleka — odpowiedziało mu drugie, dziesiąte, w końcu wszystkie złączyły się i towarzyszyły nam, podczas gdy z przeciwległej strony także dochodziły nas podobne głosy. Raz i drugi przemknął przez drogę wilk, tak, żem chwytał za strzelbę i starałem się wydobyć z futer, zanim mi się to jednak udało i zanim konie zwolniły biegu, był już wilk po za obrębem donośności strzału.

— Co to za błogosławiona kraina! — Tu jednak nie zbudujesz sobie przybytku, myślałem sobie, w chwili, gdy mój gościnny gospodarz zapytywał mnie: „Cóż, czy nie jest to prawdziwy raj wilczy?“ „Chyba nawet — nie dla wilków, odpowiedziałem, na co on odparł: „Ale za to dla nas myśliwych i dla moich chartów“.

Już po nocy wjechaliśmy w oświetlony pochodniami podwórzec pałacowy, powitani znowu szczekaniem chartów, zatrzymanych w psiarni, które w nas przeczuwały zwycięzców wilczego rodu.

Aby już nie nużyć czytelnika, pomijam dalsze wydarzenia, a mianowicie do chwili, w której zaproszono nas do obejrzenia rozkładu. Jeszcze dziś mam w uszach ten piekielny koncert. Co tylko było psów na podwórzu, wszystko to wyło i skakało jak szalone pod wpływem widoku rozciągniętych wilków, tych śmiertelnych nieprzyjaciół psiego rodu. Przytem powitanie pana przez blisko stu dwudziestu ludzi, biorących udział w obławie, dym z pochodni, który dławił nas, wszystko to łączyło się na obraz prawdziwego zamieszania, godny uwiecznienia przez fotografa.

A teraz rozkład sam! Siedm wilków leżało nieżywych, obok nich ósmy związany i zakneblowany. Stanowił on przedewszystkiem przedmiot ciekawości wszystkich obecnych. Jak dziwnie, raz zielono, raz krwawo błyskały skośne oczy bezsilnego rozbójnika! Kula trafiła go w tylną łopatkę — dwa charty zatrzymały go potem. Miał on służyć po wyleczeniu do tresury. Niebardzo miłe i zazdrości godne przeznaczenie, myślałem sobie.

Wróciwszy do sali, omawialiśmy jeszcze obszernie wszystkie wypadki dnia, i w końcu udaliśmy się na spoczynek umówiwszy się, że nazajutrz udamy się na polowanie leśne, które zarządzono bezzwłocznie. Stało się jednak inaczej. Silny śnieg, który nie pozwolił widzieć na trzy kroki przed sobą, uwięził nas w domu. Gdy zaś i na drugi dzień pogoda się nie zmieniła, skróciłem mój pobyt w tej okolicy i kazałem się odwieść na kolej.

W chwili, gdy to piszę, leży przedemną list mojego przyjaciela, w którym mnie prosi, abym go znowu odwiedził w zimie, że wilki się rozmnożyły znacznie i że polowania zapowiadają się doskonale“.

Czekajmy zatem, może nas szanowny autor nowym, podobnym opisem uraczy.

O lufach choke-bored i o gatunkach śrótu.

Każdy myśliwy obecnie wie, co to jest lufa zwężona, czyli lufa „choke-bored". Z własnego doświadczenia, lub też z doświadczeń obok niego czynionych dowiedział się, że lufa taka przyczynia się rzeczywiście do powiększenia koncentracyi strzału a zatem i jego donioslości — na tem jednak ograniczają się zwykłe wiadomości przeciętnego myśliwego, w tym kierunku nabyte. W jaki sposób powstaje lufa choke-bored i jakie w pewnych warunkach oddany strzał ma skutki, z tego nie zdaje sobie zupełnie sprawy.

Nie wszystko przy lufach choke-bored jest dla strzelającego korzystnem. Przekona się o tem z tej rozprawki czytelnik, jeżeli będzie miał cierpliwość doczytać ją do końca i wyciągnie z niej wskazówki praktyczne, które mu z pewnością były dotychczas obce.

Przypominamy najprzód, że funkcyonowanie choke-bored'u opiera się na tej samej zasadzie jak n. p. funkcyonowanie wstrzykawki — jest to jednak wstrzykawka bardzo potężna i z którą nie ma żartów, szczególniej dla zwierzyny naprzeciw niej się znajdującej. Nabój śrótu można tu porównać z płynem, który wyrzuca znajdujący się w wstrzykawce tłok — zwężenie wylotu daje wyrzucanemu płynowi koncentracyę, szybkość i doniosłość. Należy tu jednak zwrócić uwagę na to, że ziarna śrótu nie prześlizgują się tak łatwo, jak drobiny płynu, szczególniej zważywszy na poważną szybkość, jaką już posiadają, gdy dostają się do miejsca zwężonego lufy. Tutaj wytwarza się pewien proces ściśnienia, który powstrzymuje wzrost szybkości naboju śrótu. Proces ten jest tego rodzaju, że nawet przy najmniejszem zwężeniu lufy, szybkość w wyrzuceniu naboju jest mniejszą niż przy lufie cylindrycznej. Przez czynienie doświadczeń, doszli rusznikarze do tego, że mogli oznaczyć stopień zwężenia, który daje strzał bardzo zbity a przecież jak najmniej możliwie zmniejsza jego szybkość początkową. Zwężenie takie wynosi przy kalibrach 16-tym i 12-tym ośm dziesiątych milimetra na jednym milimetrze, przy kalibrach 10-tym i 8-ym można zwężenie posunąć do jednego i siedm dziesiątych milimetra. Z powodu zwężenia lufy erupcya śrótu odbywa się w sposób inny niż przy lufach cylindrycznych. Według tego, co można zaobserwować, jeżeli się zapomocą ciśnienia zmusi pewną ilość kawałeczków metalu do przesunięcia się przez jakiś otwór zwężony, przychodzi się do przekonania, że przebywając zwężenie lufy, każda warstwa śrótu wygina się w pewien rodzaj powierzchni kulistej, miejszej lub większej, w miarę zwężenia, zwróconej wierzchołkiem w kierunku strzału. To jest powodem, że ziarnka śrótu każdej warstwy odsuwają się lekko od siebie, w tym samym czasie, gdy pojedyncze warstwy wygięte także się od siebie odsuwają, jak odrębne jakieś pokrywy kuliste, biegnące jedna za drugą. W czasie opuszczenia lufy ziarnka śrótu już się oddaliły od siebie i nie działają już wzajemnie na siebie, jak się to dzieje przy strzale z lufy cylindrycznej. Skonstatowano z chronografem w ręku, że ziarnka z n a j d u j ą c e s i ę n a c z e l e k o l u m n y ś r ó t u, wychodzącej z choke'u zbudowanego należycie, wyprzedzają strzał cylindryczny o 10 metrów w szybkości początkowej — podczas gdy szybkość przeciętna całego naboju, wyrzuconego z lufy choke nie zwiększa się, owszem, że nawet jest mniejszą od szybkości naboju, wystrzelonego z gładkiej lufy — co każe przypuszczać, że ostatnia warstwa naboju z czokboru wystrzelonego, spóźnia się znowu o 10 metrów. Cały nabój czokboru zajmuje zatem długość 20 metrów.

Nabój tak rozdzielony, mówi autor podpisany pseudominem Beau-Revoir w *Chasseur Français*, z którego ten artykuł podajemy, daje znakomite rezultaty, gdy się strzela n. p. do stada kuropatw, w granicach dobrego strzału. Trzeba jednak, żeby nabój śrótu był mocny, to znaczy trzeba strzelać z kalibru 12-go i żeby śrót był cienki lub przynajmniej średni, w przeciwnym razie strzał będzie niepewny. Przy zwykłej szybkości, na odległość 40 metrów, pierwsze ziarnka śrótu z naboju czokborowego przybiegną w 17 setnych sekundy do celu, podczas gdy ostatnie ziarnka przybiegną w 9 setnych sekundy po pierwszych. Podczas tego kuropatwa, gołąb, w pełnym locie, przebywające koło 18 metrów na sekundę, posuną się o 1 metr i 62 cm. Całą tę drogę przebywają ptaki te w obrębie niebezpieczności strzału, a gdy się policzy jeszcze i obręb kolisty śrótu, pokrywa nabój śrótu, wyrzuconego z czokboru około dwa i pół metra powierzchni. Jeżeli zatem, mówi ciągle p. Beau-Revoir, strzeli się na 40 metrów do kuropatw, mierząc do pierwszej ze stadka, w ten sposób, że się zakłada przed nią na 3 metry — „jest to konieczne, bo trzeba dać czas pierwszym śrótom „przebiedz tę drogę" — można zabić po kolei, chociaż tym samym nabojem, wszystkie te kuropatwy, które lecą za pierwszą w odległości 2 metrów! Są to strzały, mówi dalej p. Beau-Revoir, do których teraz zawsze dążę i które mi się już udawały. Już nie liczę tych strzałów, którymi zabijam dwie kuropatwy naraz — co i tak już jest rzeczą przyjemną — mam jednak w mojej praktyce siedm strzałów po trzy kuropatwy a jeden z czterema kuropatwami naraz. Świadek tego ostatniego strzału, jeden z moich towarzyszy, ofiarował mi 1000 franków za strzelbę „Idéal", przypisując przedewszystkiem jej tę zasługę, którą w pierwszym rzędzie strzelającemu przyznać należało. Nie pomogło nic, że dawałem mu te same wyjaśnienia, jakie tu podałem, jest przekonany do tej chwili, że miałem w ręce strzelbę nadzwyczajną. Bezwątpienia, że chcąc zrobić taki strzał, nie można mieć w ręce byle jakiej strzelby, lecz strzelbę, która zniesie doskonale mocny nabój, nie potrzebuje być większego kalibru niż dwunasty i nie potrzebuje kosztować tysiąca franków. Dobra stalowa lufa, znosząca 40 gr. śrótu, spełniać będzie jak najlepiej tę służbę. Nawet na odległości mniejsze niż 40 metrow, choke będzie zawsze lepszą służbę pełnił niż gładka lufa. Gdyby wiercenie było przesadzone, wtedy nabój będzie się w swoim przebiegu rozciągał na takiej przestrzeni, że kuropatwa lub gołąb będą mogły przelecieć między ziarnami śrótu. Gdy się z choku strzela do zwierzyny, która odbiega od nas, to jest za zwierzyną, ziarnka śrótu uderzają w nią jeden po drugiem. Jest to niedogodnem tylko na bardzo wielkie

odległości, jeżeli szczególniej nabój jest mały. Choke jest najpraktyczniejszy na odległość 35 do 55 metrów. Redukuje wtedy średnicę koła, w którem śrót jest rozrzucony na 35 do 40 centymetrów — koło to zawierać będzie do 74% ziarn śrótu. Po za tą odległością traci choke-bored swój awantaż nad gładką lufą — owszem jest nawet gorszy, bo rozrzuca więcej śrót niż lufa gładka. Reasumując można stwierdzić, że choke nie przedstawia żadnych korzyści: 1) przy użyciu zmniejszonego naboju; 2) przy użyciu grubego śrótu; 3) przy małych kalibrach; 4) na większe odległości.

Tyle p. Beau-Revoir.

Ucieszyłem się bardzo, gdy ten artykuł przeczytałem. Już w sprawie broni małokalibrowej zająłem w „*Łowcu*“ stanowisko, jak mi to nawet między wierszami zarzucono, niezdolnego do pojęcia postępu konserwatysty. Kiedy jednak widzę, jak moi towarzysze polowania, pokazawszy przed polowaniem każdemu kto chce i nie chce patrzyć, prześlicznie wiercone lufki, potem na polowaniu fuszerują nie mniej niż każdy z nas, który ma zwykłe lufki, nasuwa się przecież na myśl, czy dawna lufka nie lepsza. Każdy mi przyzna, że kupując strzelbę, gdy próbował na strzelnicy lufy choke bored, zawsze miał, prawda koncentrowniejszy, ale słabszy strzał, niż z gładkiej lufy. P. Beau-Revoir wytłumaczył mi to wszystko. Choke-bored może mieć zastosowanie tylko w ściśle określonych wypadkach t. j. przy strzale na odległość 40 metrów, z dużego kalibru i cienkim śrótem. W innych wypadkach lepiej z lufy choke-bored całkiem nie strzelać. Zapytuję tylko, co zrobi myśliwy szanujący sie ze strzelbą zwykłą, jeżeli ta na 40 kroków na pewno nie zabije? Oczywiście wyzbędzie się jej jak najprędzej, bo choć, mojem zdaniem, jestto maximum, którego od zwykłej strzelby żądać można, to jest tego, żeby przy dobrem zmierzeniu i dobrym naboju na 40 kroków n a p e w n o zwierzynę uśmiercała, to nabycie takiej strzelby jest obecnie tak łatwe, że rzeczywiście nie warto nosić choke-bored'a, jeżeli on tylko co dziesiąty strzał może lepiej strzelić, niż gładka lufa. Zostanę zatem przy gładkich lufach i nadal — chyba, że mnie kto przekona, że nie mam racyi.

Więcej już interesuję się jakością śrótu i pod tym względem oddaję zupełną słuszność tym, którzy mówią, że śrót twardy daje gęstszy i dalszy strzał, niż śrót miękki, chociaż ten, jestem przekonany dawał strzałom z kapslówek, to co się „brandem“ czysto po polsku wówczas nazywało. Była to właściwość strzelby, że zwierzyna zostawała po strzale z niej na miejscu. Poprostu śrót deformował się w tej strzelbie i zamiast okrągłych kulek, wychodziły jakieś siekańce, które ciężej raniły zwierzynę, niż kulki. W tem jednak przyznaję racyę organowi dolnoaustryackiego towarzystwa łowieckiego, który umieszcza następujący w tej mierze artykuł:

Najdoskonalszą formą ciał przestrzennych jest kula. Jeżeli się kulę wprawi w ruch, to odbywa ona rotacyę w kierunku którejkolwiek ze swoich osi. Równomierność tej rotacyi zależy od pewnych okoliczności, które stoją w stosunku z oporem i siłą rzutu. Zrobienie matematycznie dokładnej kuli jest dla człowieka niemożliwe. Im jednak ciało więcej jest zbliżone do kuli t. j. im więcej się zbliża do ideału geometrycznego kuli, tem mniej przy rotacyi znajdzie oporu i tem regularniej ruch swój odbywać będzie. Przy strzale śrótowym ze strzelby jest to bardzo ważną rzeczą. Obręb rozsypania się śrótu zawartego w łusce nabojowej zawisł w wysokim stopniu od regularności biegu każdego ziarnka śrótu z osobna. Gazy wytwarzające się przy spaleniu się prochu wywierają nacisk na ostatnią warstwę śrótu, które pod tym naciskiem uderzają w sąsiednie ziarnka i poruszają je. Ten gwałtowny ruch zmusza ziarnka śrótu do usuwania się we wszystkich kierunkach, aby tylko uniknąć skutków ruchu. Odbijają się więc one o twarde ściany lufy, stąd odparte uderzają znowu w sąsiadów, wyruszają ich gwałtownie z miejsca i zmuszają do odbywania najnieregularniejszej drogi. Poruszone i nie bez śladów tych karambolów, opuszczają ziarnka śrótu lufę. Dostawszy się na wolność, muszą one pod wpływem tego samego impulsu, biedz naprzód i odbywać tę drogę w ciągłym stanie rotacyi. Ponieważ większa ich część straciła już kształt dokładnej kuli, nie będzie już rotacya miała tego charakteru regularności, jaka potrzebna jest do regularnego ruchu naprzód, lecz spowoduje ruch niepewny, wskutek którego ziarnka śrótu przybiorą niepożądany kierunek. To będzie przyczyną, że śróty rozsypią się szerzej i że często strzał będzie chybiony, pomimo tego, że nikt nie zrozumie tego przyczyny. Ziarnka śrótu znalezione w ciele zabitej zwierzyny są zdeformowane prawie bez wyjątku. Przypisywano to temu, że ziarnka te wpadłszy w ciało i znalazłszy tam opór, traciły swoją pierwotną postać. Przy doświadczeniach jednak z woskowemi tarczami amerykańskiemi okazało się, że zmiana kształtu śrótu przychodziła do skutku już przed przybyciem do celu i że śróty tę nową postać jeszcze przed opuszczeniem lufy dostawały. Oczywiście, że im miększy materyał na śrót użyty, tem większe zmiany, przyczem znowu należy także uwzględnić rozmaitą twardość materyału na lufy użytego. Zdjęte fotografie uwidoczniały dokładnie zmiany, zaszłe w kształtach miękkiego śrótu. Śrótem strzelono do miękkiej woskowej płyty, która nie przedstawiała dla niego żadnego oporu, a więc do zdeformowania śrótu przyczynić się nie mogła. Śrót twardy także okazuje zmiany, ale w każdym razie nie w tej mierze, jak śrót miękki. Aby śrót miękki uczynić twardszym, usiłowano połączyć z ołowiem metal twardszy, to połączenie jednak czyni śrót lżejszym, przez co znowu zmniejsza jego siłę przebicia. W każdym razie jednak ten, stosunkowo małej wagi wzgląd, nie może zaćmić korzyści jaką przedstawia lepsze rozsypanie się śrótu i regularniejsze pokrycie nim tarczy.

Deformacya ziarna śrótu jest zależną także od innych momentów, których szukać trzeba w rozmaitych pobocznych okolicznościach. Im silniejszy nabój, tem większa deformacya, bo większy nacisk, i tem gorszy rezultat co do rozsypania się śrótu. Jeżeli się ziarnka śrótu ubije mocno w naboju, a nie ułoży w regularne warstwy, deformacya będzie także znaczniejsza. Silnie zwężone lufy choke-bored przyczyniają się do deformacyi i sprowadzają inny skutek, niż ten, którego od nich oczekiwano.

Zwiększony proces tarcia i liczniejsze punkta zetknięcia, które tworzą się przy silnem zwężeniu takich luf, muszą zwiększyć deformacyę śrótu i zaszkodzić kierunkowi biegu śrótu po za lufą. Przy dokładnej uwadze, będzie można dla każdego rodzaju deformacyi znaleść odpowiednią przyczynę. Więcej lub mniej regularne wyzębienia albo kończące się spiczastymi kantami wgłębienia powstają z powodu wzajemnego naciskania na siebie ziarnek śrótu, podczas gdy spłaszczenia, równe i błyszczące, będą pochodzić od lufy. Od wielkości i sposobu

zmiany kształtu ziarn śrótu zależeć będzie ich rozmieszczenie i to w stosunku prostym. Naruszenia kształtu kulistego ziarnek śrótu są przyczyną opóźnienia ich biegu. Napotykają one na większy opór powietrza i usuwają się na boki. Szczególnie pokaleczone ziarna są to te właśnie, które robią najmniej zrozumiałą drogę i wywołują dziwne rezultaty. Jeżeli się n. p. mierzy do jednej sztuki zwierzyny a zdarza się, że i druga od niej daleko znajdująca się także pada, zawdzięcza się to właśnie takiemu zdeformowanemu śrótowi, który niewytłumaczoną drogą zrobił.

Od miary tej deformacyi zależy zatem siła przebicia i sposób rozmieszczenia całej masy śrótowej. Łatwo zatem zrozumieć, że staramy się wszelkiemi siłami przeszkodzić temu, aby śróty kształt swój traciły i że pragniemy mieć śrót z jak najtwardszego materyału. To zahartowanie śrótu nigdy jednak nie dosiągnie tego stopnia, żeby twardość śrótu zrównała się z twardością lufy. Śróty twarde będą zatem także ulegać zmianie kształtu, ale oczywiście nie w tej mierze, jak to dziać się będzie ze śrótami miękkimi. Zmiany przy twardym śrócie są stosunkowo tak małe, że nie stawiają wielkiego oporu powietrzu. Zawsze zatem będą one więcej prawidłową drogę odbywały i padną bliżej celu niż śrót miękki.

Widzieliśmy, że autor tego artykułu przypisuje ten sam efekt, który p. Beau-Revoir przypisuje lufkom choke-bored, silnemu zdeformowaniu śrótu. *S.*

KORESPONDENCYE.

Suchodół pow. Bóbrka, d. 6. października 1900.

W kwietniowym tegorocznym zeszycie zamieściłem w „*Łowcu*" korespondencyę, w której zwróciłem uwagę na nadzwyczajne wypadki, jakie się w tutejszej okolicy zdarzyły z lisami i wypowiedziałem tam zarazem swoje zdanie, że najprawdopodobniej były one wściekłe. Od tego czasu wypadków podobnych mieliśmy więcej, i zewsząd dochodziły mię wieści, że włościanie okoliczni bądź to w polu przy robotach, bądź też na swych dziedzińcach, w biały dzień, ubijali lisy, które swem niezwykłem zachowaniem się wzbudziły ogólne zdziwienie. I tak między innemi, zdarzył się u jednego z gospodarzy taki wypadek, że lis atakowany przez ludzi uciekł do chałupy, wlazł do pieca piekarskiego i tam go dopiero kociubami i motykami zabito. Innym znowu razem, chłop spotkał lisa przy drodze, i chciał go poczęstować pałką, lis skoczył do niego i byłby może chłopa pokaleczył, gdyby silne i zręczne uderzenie pałką po nosie temu nie zapobiegło. Przed trzema tygodniami zaś byłem naocznym świadkiem również niezwykłego faktu. Ludzie moi zajęci byli robieniem otawy na łące tuż obok leśnictwa i przy drodze położonej, aż tu o kilkadziesiąt zaledwie kroków, po drugiej stronie drogi na zboczy pod lasem zjawia się lis — chciałem pobiedz pod strzelbę, lecz w tej chwili suka legawa i jamnik zoczywszy go, puściły się za nim, przesadziły potok i mimo głośnego odwoływania dopadły go na miejscu. Lis, podczas tego ataku, stał sobie najspokojniej w świecie, psy oba stanęły tuż obok niego, na chwilę jakby zgłupiały — dopiero jamnik mój zresztą bardzo cięty i na lisy zaprawiony, chwyta go za kark, a suka biorąc za tył, ściągają razem lisa na drogę, i tam za nim zdołałem przybiedz, na śmierć szarpią. Lis ten, jak na ową porę był uderzająco chudy, widocznie trapiony jakąś chorobą, nie zdradzał przytem tej przezorności i obawy przed psami i ludźmi, jakie zwykle spostrzegamy u lisów. Najświeższe znowu zdarzenie zaszło u dozorcy lasowego. Lis wpadł na podwórze i począł szarpać kurę, tak, iż żona dozorcy z dziećmi, wybiegli z domu — mimo największego rajwachu lis nie uciekał aż dopiero dozorca nadeszedł i na kilka kroków odległości go zastrzelił. Lisa tego zaraz na drugi dzień odesłałem do c. k. Akademii weterynaryi we Lwowie, opisałem fakt celem przedsięwzięcia sekcyi i zbadania sprawy, na co dnia 1-go października dostałem następującą odpowiedź z Rektoratu, którą dosłownie przytaczam:

W odpowiedzi na pismo z dnia 27-go września b. r. donosi się, że ze względu na opisane w liście objawy i ujemny wynik sekcyi podejrzenie wścieklizny u lisa jest uzasadnione — stanowcze jednak orzeczenie możnaby wydać na podstawie szczepień mózgiem zwierząt doświadczalnych; w tym jednak wypadku z powodu zupełnego zgnicia mózgu nie można było przeprowadzić tych szczepień, dlatego należałoby w przyszłości przysłać materyał świeży t. j. głowę nienaruszoną wraz z szyją tuż przy piersi odciętą i w płótno napojone wodą karbolową lub sublimatem owiniętą".

Rektor c. k. Akademii weterynaryi:
Prof. Dr. Szpilmann, m. p.

W obec tego zachodzi rzeczywiście obawa, iż mamy tu do czynienia z niezwykłymi objawami u lisów, które jeżeli nie są przypadkiem wywołane inną chorobą n. p. mózgową, noszą na sobie piętno wszelkiego prawdopobieństwa wścieklizny.

R. Kesselring.

Lwów, we wrześniu 1900.

Ciekawe zdarzenie zaszło w Tulukowie pod Zabłotowem, majątku Kazimierza Agopsowicza. Onegdaj zaalarmował go polowy wiadomością, że nad ranem w druty ogrodzenia parku zaplątał się potężny kozioł. Zapytany o rogi potwierdził skinieniem głowy, a na oznaczenie ich długości wskazał prawą ręką powyżej lewego ramienia. Wyśmiano go wprawdzie, ale nie dał się zbić z tropu i zapewnił, że wcale nie przesadza...

Wnet udano się na wskazane przez polowego miejsce, a tu zdumienie ogarnęło wszystkich obecnych, bo spętany kolczastym drutem, z głową nienaturalnie w bok wykrzywioną, leżał przed nimi martwy okazały jeleń szóstak... Co zapędziło wspaniałego zwierza w bezleśną okolicę Tułukowa pozostanie zapewne nieodgadnioną zagadką — przypuszczam, że uchodził przed psami z karpackich rewirów. O świcie widziała go służba folwarczna jak wyskoczył z łanu kukurudzy i skierował się na park — po chwili przesadził rów i wpadł w druty ogrodzenia, a chcąc się uwolnić z przykrych więzów rzucił się tak gwałtownie, ze skręcił kark i nietknięty przez nikogo padł nieżywy na miejscu. Ważył 160 klg. — wieńce jego choć nikłe i w niedawnej walce widocznie uszkodzone, pozostaną ozdobą dworu tułukowskiego na pamiątkę tak smutnie niestety zakończonych odwiedzin króla gór naszych.

W kilka dni po opisanem zdarzeniu mieliśmy w niedalekiej okolicy Tułukowa nową senzacyę. W 80-morgowym lasku w Chomiakówce wykryto bytność dzików, które od kilku dni robiły szkody w kartoflach i kukurudzy. Gospodarz Kazimierz Agopsowicz (senior) zwołał na prędce kilku myśliwych i wyprawił łowy uwieńczone pomyślnym rezultatem, bo z 5-ciu widzianych dzików, 2 znalazły się na rozkładzie, zaś trzy pozostałe salwowały się ucieczką tylko dzięki temu, iż obdarzyły spotkaniem niedoświadczonych, zaledwie pod sztandar Dyany zaciągniętych myśliwych... Dzików w Chomiakówce nie widziano od niepamiętnych czasów.

Leopold Łysakowski.

Batiatycze, 24. września 1900.

Milczenie to złoto — ja jednak milczałem z konieczności, bo nie miałem się czem podzielić z czytelnikami „*Łowca*“. Prędzej mógłby to zrobić sąsiad, p. Śnieżko z Lubelli, który sobie bije dziki na dzień dobry na gazonie, a któremu św. Hubert takie wyprawia niespodzianki, żebyśmy się nie dziwili, gdyby kiedy w swoich stawach, (nawiasem mówiąc wzorowo urządzonych), zapolował na krokodyla. Wracając ad rem — ma to być sprawozdanie o stanie zwierzyny w powiecie Żółkiewskim — gorzej się on przedstawia niż w roku zeszłym. Zajęcy mimo nadzwyczajnej, jednak zimnej wiosny, mało po polach, przepiórki zaczynają być rzadkością, ptactwa błotnego stosunkowo mało, poczciwe kuropatewki, choć ich mniej niż w zeszłym roku, jednak dobrze przezimowały i rozmnożyły się. Sarn mało i jeszcze teraz młode bardzo maleńkie. Dziki to tylko przechodna zwierzyna i tylko nocami probują szczęścia w kartoflach. Cietrzewi jest stosunkowo dużo i to dużo kur. Widać, że niekiedy i delegat miewa szczęście, bo zabiłem białego jak mleko cietrzewia, którego wypycha preparator p. Hartel, a że ładnie i sumiennie robi, polecam go szanownym towarzyszom.

Kłusownicy!... o tych drapieżnikach już nie ma i co mówić. Chybaby im mogła zaradzić tylko jedna żandarmerya, gdyby utworzono w naszym powiecie bodaj kilka jeszcze posterunków, a szczególniej u podpisanego, który mimo próśb pokornych i ofiarowania się z pomocą pod każdym względem, po dziś dzień tylko nadzieją się cieszyć musi — i słowami „es kommt schon“.

Tadeusz Romanowski, delegat żółkiewski

Zielenica, 9. października 1900.

Na tegorocznym rykowisku w lasach kameralnych Zielona, Tatarów, Worochta ubito w dziesięć strzelb:

	1	dwudziestaka
	1	ośmnastaka
	1	szesnastaka
	6	czternastaków
	7	dwunastaków
	6	dziesiątaków
	4	ośmaki
	1	myłkusa
Razem	27	sztuk jeleni
	2	niedźwiedzie
	2	lanie (dozwolone odstrzeliwanie).

Jako goście brali udział w polowaniu: ks. Braganza, ks. Karol Emil Festenberg, hr. Kövenhüller, hr. Auersperg, lord André, hr. Hoyos, malarz Pick.

Szczególniejszy epizod wydarzył się jednemu z panów myśliwych. Na wieczornym podchodzie powala jednym trafnym strzałem — konia zamiast jelenia, to też gdy p. myśliwi zeszli się w domu myśliwskim, obsypali go pytaniami, czy też ten jeleń nie był przypadkowo schek albo szimel. Rozumie się że najlepiej wyszedł właściciel konia, gdyż kazał sobie sowicie zapłacić.

Tegoroczny wynik polowania pomimo niesprzyjającego czasu, (ustawiczne upały), należy do najlepszych jakie osiągnięto w tych rewirach.

Rogi odznaczały się pięknymi koronami i uperleniem.

Niedźwiedzie w ostatnich czasach znacznie się rozmnożyły, są to przeważnie bartniki.

Zygmunt Pakoszewski.

Kronika.

Nasi współpracownicy w czeskiem tłumaczeniu. Ostatni numer chętnie czytanego miesięcznika czeskiego p. t. „Lovecka besidka“, podaje w tłumaczeniu artykuł hr. Fr. Łubieńskiego: Toki głuszców w Tatrach, i wyjątek z artykułu p. Martyńca pod tytułem „Jak niedźwiedź chwyta jelenie“. Artykuły te były umieszczone w bieżącym roczniku „*Łowca*“. W ogóle można często spotkać się w tem sympatycznem piśmie z tłumaczeniami naszych artykułów — mianowicie artykułów p. A. Mniszka, hr. A. K. Wodzickiego, w końcu podanego przez nas w „*Łowcu*“ wyjątku z „Krzyżaków“ Sienkiewicza, opisującego spotkanie Zbyszka z Bogdańca z niedźwiedziem.

Niedźwiedź w Tyrolu. Tyrolczycy opowiadają z dumą o rzadkim już obecnie wypadku ubicia niedźwiedzia w Tyrolu. Od pewnego czasu grasował niedźwiedź w Sarnthal, na wyższych połoninach i sprawiał wielkie szkody między owcami i bydłem. Zarządzona obława nie doprowadziła do żadnego rezultatu, pomimo tego, że napotkano wyraźne tropy niedźwiedzie. Przez trzy dni przeszukiwali strzelcy z Reiswaldu całą okolicę i w końcu udało im się natknąć n. niedźwiedzia. Niejaki Piotr Pfaffsteller wpakował mu pierwszą kulę, poczem niedźwiedź kłusem pomknął ku górom Dopiero po dwugodzinnej gonitwie znaleziono go — trzy strzały powaliły go w końcu na ziemię. Tego samego wieczora przywieziono go w tryumfie do Sarnheim i Bozen, gdzie starostwo wypłaciło premię, w kwocie 42 zł. Niedźwiedź liczył długości 150 cm., wysokości 98

cm. Miał on na sumieniu nie mniej niż pół setki owiec i dwoje cieląt, które od wiosny tegorocznej zacząwszy ubił w okolicy Larfons, Darnholz i Sarnheim.

Przed bramami Wiednia. Wątpić należy, czy znajduje się gdzie na świecie drugie takie i to stołeczne miasto, któreby tak jak Wiedeń, taki wspaniały stan zwierzyny łownej posiadało i to w obrębie gminy samej i zaraz za bramami. Jest faktem, że najbliższe otoczenie miasta posiada bardzo ładny stan sarn i że pod samym Wiedniem rozlega się poryk jelenia! Dnia 22 września wyjechało z Tullnerstrasse kilka ekwipaży z myśliwymi, przejechało obok znanej wszystkim Sophien-Alpe i po godzinnej jeździe znalazło się w bliskości „miotu słonczego“, który co roku daje 25—30 słonek. Myśliwi uzbrojeni w sztućce — zatem polowanie na grubego zwierza. Pierwszy miot — odbył się bez strzału, za to w drugim, do którego wszedł jeszcze przed obstawieniem silny jeleń, liczne padły strzały. W miocie tym, w którem dużo zwierzyny na nagonkę uderzyło i schroniło się do gęstwiny nie do przebycia, było dwanaście jeleni. Do połowy strzelano, między nimi do silnego dwunastaka. Padł tylko jeden spiczak. Trzeci miot dał szóstaka, czwarty silnego i z bardzo pięknymi wieńcami ósmaka, piąty ciele, szósty wydrę, ubitą bardzo ładnym strzałem ze sztućca. Z trzydziestu sztuk jeleni zostało tylko te cztery wyżej wymienione sztuki — silne sztuki, jak również niestety lisy, wyszły zdrowo Na drugi dzień szukano za postrzałkami i znaleziono jeszcze silnego kozła i drugą wydrę, którą w czasie poszukiwań psy znalazły i zagryzły. Działo się to prawie bezpośrednio przed bramami Wiednia!

Wilki we Francyi. W r. 1899 zabito we Francyi 207 wilków, za które zapłacił rząd premie w kwocie 13.040 franków. Najwięcej (43) zabito w departamencie Charente.

Karty łowieckie we Francyi. W roku 1899 wydano we Francyi 436.111 kart łowieckich. W r. 1854, tj. w pierwszym roku, w którym według nowej ustawy łowieckiej wydawano karty, wydano ich 75.267. Zwierzyna zmniejsza się w stosunku prostym do zwiększania się liczby kart, i to w ten sposób, że wkrótce wracać z próżnemi rękami z polowania nie będzie wcale hańbą — dodaje „Figaro“, z którego te daty czerpiemy.

Bażant i żmija. „*Le chenil*“ podaje, że w dobrach North-Devon rzucił się bażant na żmiję, której połowę zdołał połknąć, podczas gdy druga wisiała mu u dzióba. I ptak i gad uległ tej niewygodnej dla obojga operacyi — znaleziono ich obu bez życia. Przy tej sposobności wspomina p. Tegetmeier o bażancie, w którego wolu znaleziono ośm małych żmijąt i glistę.

Buldogi. Miliarder amerykański, p. Ryszard Croker pogrążył miłośników buldogów w Anglii w głębokiej rozpaczy, zakupił bowiem dwa pierwsze championy buldogów, Rodney Stone i Bromley Crib, pierwszego za 25.000, drugiego za 20.000 franków. Przez zakupno tych dwóch pysznych egzemplarzy utrudniony został na długo rozwój tej rasy w Anglii. Genealogia tych dwóch psów sięga więcej niż pięćdziesięciu lat. Mało kto wie, że buldogi, mimo swego wyglądania, są bardzo delikatne. Podlegają one w wysokim stopniu wszystkim psim chorobom. W klatkach w których inne psy zapełnie dobrze znoszą podróż, buldog zdechnie. Często ulegają apopleksyom. Oprócz tego buldogi czystej rasy są często niepłodne. Stąd pochodzi ich wysoka cena. Są one jednak niezwykle odważne i wierne, a ich szczęka straszliwa i wystająca pozwala im trzymać nieprzyjaciela bez chwili odpoczynku, bo nos silnie zadarty umożliwia mu oddychanie przez nozdrza. W Anglii używają obecnie tych psów przeciw kłusownikom. Nawet z kagańcem chwytają one łatwo człowieka. Przewracają go na ziemię i przytrzymują kłusownika. Przeciwko człowiekowi, uzbrojonemu w pałasz lub widły walczą do upadłego i żaden ból im zadany nie zmusza ich do cofnięcia się. Instynktem buldoga jest wyszukanie nieprzyjaciela i rzucenie się na niego, bez względu na jego siłę. W wieku ośmnastym używano w Anglii tych psów do walki z bykami. Stąd pochodzi ich nazwa.

Sprawozdanie oryginalne z targu zwierzyny.

Józefa Schmerla Grafa z Wiednia. III. Grossmarktsrtasse.

Wiedeń, d. 1. października 1900.

Wobec tego, że od 1. października wolno tu kozy (sarny) strzelać, spodziewać się należy napływu sarn, wskutek czego spadnie także cena rogaczy. Sarny nie ważące więcej niż 18 kg. sprzedaje się zawsze po lepszej cenie, niż sarny cięższe. To samo ma zastosowanie do dzików. Jeleni nadchodzi tu obecnie masami. Zajęcy trochę więcej przybywa. Kuropatw coraz mniej na targu, za to więcej bażantów. Wobec zmiany temperatury, zwiększa się popyt za zwierzyną — ceny nie spadają z powodu wielkiego popytu za sarnami i zającami za granicą.

Obecnie notują włącznie z podatkiem spożywczym en gros „ab Halle:“ sarny 1 K. 30 gr. do 1 K. 60 gr., jelenie 60 do 70 gr. za 1 K., zające wyrosłe, silne 3 K. 20 gr. — 3 K. 50 gr., małe zaś 1 K. 40 gr. — 2 K. 10 gr., kuropatwy młode 1 K. — 1 K. 45 gr., stare 70 do 90 gr., bażanty 2 K. 80 gr. do 3 K. 20 gr., dzikie kaczki 1 K. 20 gr. do 1 K. 40 gr., przepiórki 20 do 40 gr. za sztukę.

Józef Schmerl Graf.

Tych pp. Członków, którzy dotychczas nie uiścili wkładek, prosimy usilnie o ich nadesłanie i o zaoszczędzenie sekretaryatowi Towarzystwa pracy, jaką stanowi urgowanie zalegających z opłatami pp. Członków każdego z osobna. Czas na to stracony, mógłby być użyty w interesie Towarzystwa. ***Wydział.***

OGŁOSZENIA.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: Edmund Kolbuszowski.
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.